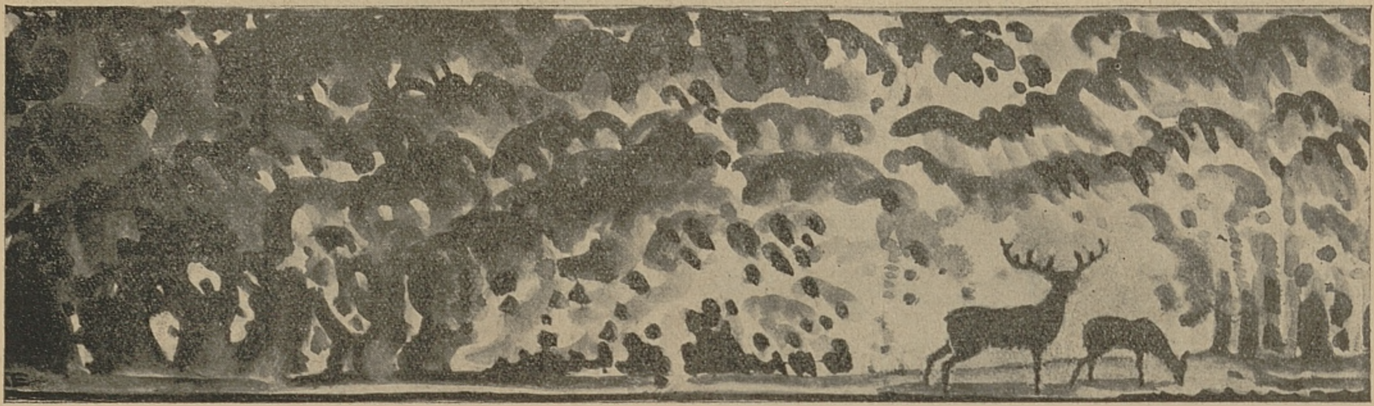


Z ODYSSEJI.
POLOWANIE NA DZIKA.

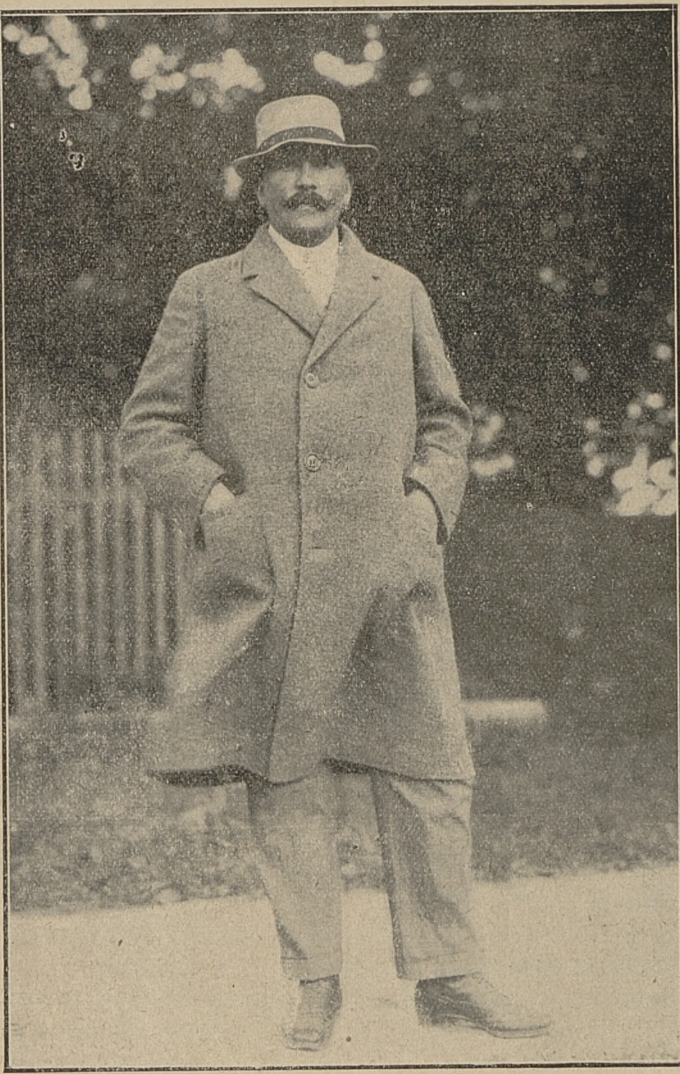
Gdy córa świtu zabłysła, Jutrzenka o palcach różanych,
Poszli myśliwi na łowy: synowie Autolykosa,
Z psami; wraz zaś wyruszył podobny do bogów Odysseus.
Jęli się wspinać na Parnas wyniosły, pokryty borami,
Aż zagłębili się wrychle w parów, gdzie wichry hulały.
Już wynurzywszy się z morza sennego spokojnych odmętów,
Promieniami rannymi sypnęło słońce na ziemię,
Kiedy weszli myśliwi w ów wąwóz lesisty; a przodem
Biegły ogary, tropiące ślad zwierza; za nimi sunęli
Autolykosa synowie. Wśród nich szedł boski Odysseus
Zaraz za psami, wstrząsając oszczepem, co długi cień rzucał.
Tam tedy, w onej gęstwinie, miał leże olbrzymi odyniec.
Ani się wicher wilgotny do tego gąszczu nie wdzierał,
Ani słońca jasnego nie docierały promienie,
Ani deszcz nie przenikał tych gąszczów: tak były gęste;
Suty zaś pokład listowia wyścielał wewnątrz to leże.
Gdy więc do dzika zbliżała się napaść, on kroków odgłosy
Łowców usłyszał i psów: tedy wypadł naprzeciw nich z gąszczu,
Szczeć na grzbiecie najeżył, płomieniem błysnął ze ślepiów,
Przed myśliwymi tak stając. W tej chwili pierwszy Odysseus
Skoczył nań, w tęgiej prawicy podnosząc oszczep swój długi.
Chciał go ugodzić; lecz oto uprzedził herosa odyniec:
Rzucił się z boku, kłem go żgnął nad kolanem i ciała
Kawał wyszarpnął; do kości jednak nie dotarł. A wówczas
Cios mu zadał Odysseus, trafiając pod prawą łopatkę,
Aż błyszczące żeleźce przebiło cielsko na wylot.
Ryknął odyniec, padł na ziem i życie zeń uleciało.
Autolykosa synowie do Odysseusa przyskoczą
I zakrzątną się wraz koło męża boskiego, zacnego:
Ranę mu wprawnie zawiążą i ciemną krew zatamują,
Nucąc zaklęcia. A potem wracają do domu rodzica.

Przełożył z greckiego
Ignacy Wieniewski.



Udział myśliwych w II Narodowych Zawodach strzeleckich w Krakowie.

W programie II-ch Narodowych Zawodów Strzeleckich w Krakowie, odbytych 6, 7, 8 i 9 września b. r., były pomieszczone dwie konkurencje myśliwskie: strzał pojedyńczy i podwójny do biegnącego jelenia i strzelanie do krążków. Znaczenie narodowych zawodów strzeleckich, które są największem świętem polskiego strzelectwa i sumiennym obrachunkiem rocznego rozwoju organizacyjnego i wyćwiczenia szerokich kół miłośników tego sportu — jest na tyle powszechnie uznawane, że niema już potrzeby rozwodzić się nad tem. Obok wspomnianych wyżej strzelań myśliwskich program zawodów obejmował jeszcze dziewięć kategorji dla broni długiej typu wojskowego i dowolnego, dla broni małokalibrowej (cal. 22) i krótkiej.



P. Drohojowski Jan, członek M. T. Ł. we Lwowie, mistrz Polski w strzel. z broni krótkiej dowolnej, zwycięzca w konkursie przed olimpijskim z broni krótkiej i o nagrodę celności z broni małokalib.

Pod każdym przeto względem opłacało się uczestniczenie w zawodach, jeśli nawet ktoś ograniczał się do wzięcia udziału w punktach programu, odpowiadających jego zdolnościom i zamiłowaniom.

Tymczasem koła myśliwskie zawiodły. Sympatyczny i stojący na wysokości zadania zespół lwowskiego M. T. Łow. oraz miejscowi krakowscy myśliwi ratowali honor polskiego łowiectwa, ale abstynencja innych dzielnic była rażąca. Komitet organizacyjny zawodów, ktoremu zależało na udziale panów myśliwych, w myśl ich życzeń przesunął termin konkursu strzeleckiego na wrzesień, poczynił ułatwienia w przejazdach kolejowych i zakwaterowaniu, poinformował ogół myśliwych o swych zamierzeniach na dłuższy czas przed zawodami i spotkał go — zawód.

W stosunku do własnych środowisk strzeleckich Komitet Organizacyjny wypełnił mimo to postawione zadanie, ponieważ zainteresował dostatecznie trzystu kilkudziesięciu zawodników całością programu zawodów, a więc i strzelaniami myśliwskiemi. Zawodnicy wojskowi, którzy licznie stawali do tych strzelań, częstokroć z nieodpowiednią bronią, podejmą niezawodnie trud krzewienia zamiłowania do strzelania par excellence, podchwytowego, stanowiącego odmianę strzelania wojskowego typu bojowego.

W stosunku do terenu międzynarodowego obecne zawody nie dały całkowitego przeglądu sił myśliwskich, które mogłyby wejść w skład polskiej drużyny reprezentacyjnej na Igrzyska Olimpijskie IX Olimpjady w Amsterdamie, w 1928 r.

Rezultaty poszczególnych konkurencji również

nie odpowiadały stawionym wymaganiom: były przeważnie gorsze od zeszłorocznych.

W strzelaniu do jelenia, strzał pojedyńczy, o mistrzostwo Polski w tej kategorji, zwycięzcą został p. Dr. Ruczka Aleksander, osiągnąwszy 14 punktów na 25 możliwych, drugie miejsce zajął p. Patalas 13 punktów, trzecie p. Drohojowski Jan 13 pkt., czwarte ppłk. St. Wecki 11 pkt. i piąte p. Łysakowski Tadeusz 11 pkt.

W strzale podwójnym święcił tryumf por. Borzemski Marjan, osiągnąwszy 25 punktów na 50 możliwych, drugim z kolei był kpt. Lewiński 20 punktów, trzecim por. Stankiewicz 19 pkt., czwartym p. Drohojowski 16 pkt. i piątym por. Bukowski 9 punktów.

Mistrzem Polski w strzelaniu do krążków został p. Buszczyński Tadeusz, rozbijając 10 krążków 11-ma strzałami. Drugie miejsce zajął p. Jabłonowski Józef 9 krążków na 12 strzałów,



Por. Borzemski Marjan.
mistrz Polski w strzelaniu do jelenia (strzał podw.).

trzecie — por. Borzemski 9 na 12, czwarte — p. Kryszkiewicz Edmund 9 na 17 i piąte — por. Bukowski Stefan 8 na 16.

Ani w porównaniu z wynikami lwowskiemi w roku ubiegłym, ani tembardziej z wynikami olimpijskiemi, wyniki powyższe nie zadawalniają nikogo.

Jeśli inż. Fleszar w strzelaniu pojedyńczym do jelenia osiąga na 25 możliwych 24 punkty — staje narówni z mistrzem olimpijskim amerykaninem Boles'em, który miał 40 punktów na 50.

Tak samo zeszłoroczny wynik p. H. Preka w strzale podwójnym, 29 punktów na 50 możliwych jest lepszy od obecnego mistrzostwa por. Borzemskiego, choć ustępował 9-ma punktami wynikowi olimpijskiemu Norwega p. Olsena, który miał 76 punktów na 100.



P. Buszczyński Tadeusz z Krakowa, mistrz Polski w strzel. do krążków.

Tylko w rzutach rezultat mistrza jest lepszy o jeden strzał.

Czasu na rozpatrzenie wszelkich błędów organizacyjnych, technicznych i treningowych mamy sporo. Wszystko może i powinno być poprawione, pod kardynalnym jednakże warunkiem, że zainteresowanie się ogółu polskich myśliwych narodowemi zawodami strzeleckiemi będzie większe.

K. K.



O potrzebę i jednolitość podziału zwierzyny.

(*W odpowiedzi na artykuł zamieszczony w Nr. 17 P. M. i Ł. P. z września 1925. „Nowe horyzonty myśli łowieckiej“*).

Ustalenie konkretnego podziału na grubą i drobną zwierzynę uważam za sprawę dla polskiego łowiectwa równie ważną, jak śpiesznie potrzebną. Powodem tego jest fakt, że myśliwych coraz więcej, a zwierzyny—ogólnie rzecz biorąc—coraz mniej.

I właśnie dlatego, że myśliwi mnożą się ilościowo nieproporcjonalnie, a każdy urabia zasady i prawidła według indywidualnego widzimisię, — przeto polska kwestja łowiecka buja dowolnie po fali najróżnorodniejszych zapatrywań, wykazuje brak wszelkiej jednolitości, brak stałych prawideł, bez których w żadnej dziedzinie porządku i ładu nigdy być nie może.

Kiedy przed sześciu laty zasiadłem po raz pierwszy do rozpoczęcia wydanej w ub. roku pracy „Łowiectwo“ — pierwszą zaraz trudnością było sprecyzowanie działu zwierzyny. Sprawę tę przestudjowałem przy pomocy kilkudziesięciu starych książek polskich, traktujących o łowiectwie, następnie porównywałem podział z dziełami niemieckiemi i przemyślałem wszystko przez szereg dni i nocy a do wyników, skrystalizowanych i ogłoszonych drukiem — doszedłem nie z urojenia, lecz z uzasadnionych motywów.

P. J. Ejsmond — któremu zawsze cześć łowiecką oddaję, jako dobremu Myśliwemu i dzielnemu Pracownikowi na polu łowieckiem — wyraził się ujemnie o mojej segregacji zwierzyny, najpierw przy sposobności krytycznej oceny „Łowiectwa“ (Nr. 17—18 z roku 1924) a obecnie identycznie w przytoczonym wyżej numerze P. M. i Ł. P., co zniewala mnie do dania odpowiedzi.

Podziału zwierzyny stosowanego w dawnej Polsce — przyjąć obecnie bez zmiany nie można. Trzeba było sformułować podział nowy, dostosowany do istniejących warunków życia.

W pierwszym rzędzie chodziło mi o to, aby zwierz gruby t. zn. poważny, rzadki i dla myśliwskiej satysfakcji cenny — był strzelany kulą. Bo przy dzisiejszej broni są raczej szanse po temu, że kula albo rozłoży zwierzę na miejscu, albo ominie go szczęśliwie, natomiast odwrotnie ma się rzecz przy śrucie, gdzie niemal zawsze zwierzę coś oberwać musi i często uchodzi jako postrzałek na korzyść zwierzyny drapieżnej.

To też gdyby dzisiaj — przy tak licznym zastępie nemrodów przestrzegano ściślej zasadę strzału kulowego do zwierzyny grubej, byłoby to znacznie zdrowiej dla całego zastępu dzików, jeleni, rogaczy i głuszców, a pożyteczniej dla sprawy myśliwskiej.

Zwierz gruby to przedewszystkiem zwierz potężny rozmiarami — jak to określa przymiotnik (łoś, jeleń, daniel, niedźwiedź, dzik, wilk), dalej zwierz już dzisiaj całkiem rzadki, wzgl. sporadycznie występujący (kozica, świstak, bóbr), którego otacza opieką Tow. Ochrony Przyr. i którego cały świat myśliwski winien bronić przed zatratą, w końcu zwierz do którego z myśliwskiej kurtuazji nie wypada sypać garstką śrutu (sarna, ryś, głuszec, drop, żóraw i orzeł).

Widziałem niejednokrotnie, jak z kociołka pomiędzy szaraki wysunęła chmara sarn, mijając w dzikiej ucieczce szereg naganiaczy i myśliwego. Bryznął strzał śrutowy i kozioł bezrogi — może tylko przyszły widłak — runął z połamanemi cewkami, wijąc się w przedśmiertnych drgawkach. Czy jest to poprawny strzał myśliwego, czy chodziło o sztukę trafienia zwierza jednym lub kilku ze stu ziarn śrutowych umieszczonych w naboju, czy nie przerwano życia zdrowemu osobnikowi, który ze względów hodowlanych miał właśnie wypełnić rolę ważną i pożądaną, czy nie okaleczono przytem siuty tuż obok przemykającej?

Podobnych wypadków jest całe mnóstwo i dlatego do sarn należy strzelać wyłącznie kulą!

Pyta Sz. Autor artykułu, dlaczego żbik lub wydra zaliczone są do zwierzyny drobnej. Odpowiem pytaniem: bo z jakiego względu zaliczyć ich do grubej? żbik to mały drapieżnik, o kilku kg. wagi na którego polowania specjalnie się nie urządza, dlatego z żadnych powodów nie przysługuje mu miejsce wśród zwierzyny grubej. Wydra — jest wogóle dla łowiectwa o całkiem małem znaczeniu; pospolita w całym kraju, dostępna dla strzału zazwyczaj nocą, a więc tylko śrutem — nie zasłużyła sobie także niczem, aby ją zaliczyć w poczet zwierzyny poważnej.

Świstak całkiem co innego! To rzadki już polarny przedstawiciel zmierzchłej epoki geologicznej. który w Polsce uratował się na małym, lecz najwyższym skrawku tatrzańskiej ziemi. Czyż będziemy sypali doń śrutem tak jak do przepiórki? Chyba nie! Osobiście na świstaki nie miałem szczęścia polować, a z opowiadań myśliwych wiem, że świstak nie dość celnie kulą trafiony — zmyka do pobliskiej jamy i zapewne w norze ginie. Czy więcej zaufania budzi wobec tego kula z precyzyjnego dzisiaj ekspresa, czy też śrut, którym naszpikowany świstak z pewnością dotrze jeszcze do kryjówki i przepadnie. A zatem kierując się raz przyjętą zasadą: kula dla zwierza grubego — zaliczyłem świstaka do zwierzyny grubej.

W dalszym ciągu pisze p. J. Ejsmond: na jakie manowce prowadzi taki podział stwierdza to dostatecznie następujące zdanie Szan. Autora o rysiu": jakkolwiek rysia zaliczamy do zwierzyny grubej, to jednak ze względu na jego czarną naturę a djabelskie obroty, strzelać doń można także grubym śrutem". Wilk zatem, zdaniem autora „Łowiectwa" niema czarnej natury? A zające, cietrzewie, jarząbki i kuropatwy strzelamy śrutem — z powodu ich czarnej natury?

Nie widzę w tem żadnych manowców oprócz tego, że takie frazesy są nierealnem podchwytywaniem za słowa. Bo ryś, rzadki w Polsce kot do 30 kg. wagi, drapieżnik par excelence zasługuje — tak samo, jak wilk — na umieszczenie w honorowym składzie zwierza grubego. Piszę też o rysiu, że ze względu na... można doń strzelać także grubym śrutem, nie wykluczam zatem kuli. Ale nie wynika z tego zupełnie, że wilk niema także czarnej natury, przeciwnie uznaję to w całej pełni i właśnie dlatego na stronie 136 mojego „Łowiectwa" piszę, że wprawdzie przysługuje doń strzał kulą, jednak... należy raczej używać grubszego śrutu.

Gdyby istniały wszystkie reguły bez wyjątku — życie nasze zwłaszcza myśliwskie, byłoby daleko łatwiejsze.

W rezultacie p. J. Ejsmond uważa w numerze 17—18 ex 1924 mój podział zwierzyny za rzecz przestarzałą i sztuczną, a w numerze 17 ex 1925 wyraża zdanie, że podział ten prowadzi na manowce i razi w nim rozbieżność motywów.

Ze swojej strony uważam, że właśnie wręcz przeciwnie segregacja jest jak najbardziej prosta i jasna, bo dzieli zwierzynę na grubą, której z zasady należy się kula i na drobną, do której strzelamy śrutem, — że manowce i rozbieżność są wy-



Państw. gajowy lasów komory Cieszyńskiej p. Śliz z wychowanym przez siebie liskiem.

kluczone przy uzasadnionych motywach, jakie powyżej podałem.

Moje „Łowiectwo" było dziełem pięciu długich lat, poddałem je ocenie ogółu Myśliwych i jeżeli znajdę racjonalne uzasadnienie innego podziału, chętnie się doń zastosuję, a na razie twierdzę, że zawsze łatwiej coś gotowego skrytykować, niż samą rzecz od nowego wypracować.

Inż. W. Krawczyński.

Dąbrówki, dn. 13 września 1925.

W odpowiedzi na powyższe uwagi świetnego znawcy łowiectwa p. inż. W. Krawczyńskiego pragnę zaznaczyć iż zaszło pewne nieporozumienie. Sz. Autor sądzi, iż uważam Jego podział zwierzyny za rzecz przestarzałą i sztuczną. Jest to nieścisłe: uważam wszelki podział zwierzyny na szkodliwą i pożyteczną, na grubą i drobną za rzecz przestarzałą i sztuczną.

Stanowczość mego twierdzenia opieram na rozbieżności motywów, na których się ten podział zasadza. Podczas bowiem, gdy p. inż. Krawczyński dzieli zwierzynę na strzelaną kulą i śrótem nazywając ją grubą i drobną, inni pisarze dając zwierzynie tę samą nazwę grubej i drobnej podział opierają nie na strzelaniu kulą lub śrótem, lecz na rzadkości, wielkości lub romantyczności łowów. Stąd chaos całkiem niepotrzebny.

Zgadzam się więc bez zastrzeżeń z Sz. Autorem na potrzebę podziału zwierząt łownych na strzelane kulą i śrótem, twierdzę jednak, iż nie należy używać dla określenia tych dwu kategorji zwierzyny słów, które miały dawniej inne znaczenie, gdyż zwierz gruby nie był zwierzem, którego strzelano kulą a zwierz drobny nie był zwierzem, którego strzelano śrótem.

Do przykładów przytoczonych na to w Nr. 17 „Przegl. Myśl." dorzucę tu podział B. Kicińskiego z XIX w., który do zwierzyny grubej liczył jastrzębie, kanie, krogulce, cietrzewie, bażanty i czaple — do drobnej zaś: puhacze, bobry, jarząbki.

Dzieło p. inż. Krawczyńskiego uważam — i dałem temu wyraz w jednym z artykułów — za najznakomitszy w piśmiennictwie naszem podręcznik hodowlany. Niechże mi wolno będzie zatem różnić się z Sz. Autorem co do jednego jedynego poglądu. Bo jeśli zwierz „dla myśliwskiej satysfakcji cenny" ma być strzelany kulą — to znowu schodzimy na manowce.

Podstawa to zbyt indywidualna, każdy niemal myśliwy ma bowiem inne upodobania i ogólnego, stałego podziału na tak płynnej zasadzie ugruntować nie sposób.

Unikajmy zatem ogólników. Praca inż. Krawczyńskiego nazbyt jest cenną, by po tem jednem zastrzeżeniu straciła cokolwiek ze swej trwałej wartości.

Juljan Ejsmond.

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

23.I. Pan D. wrócił wczoraj, około 10-ej rano, a wraz z nim przybył przewodnik, wysoki somalis, pod względem stroju i uzbrojenia najzupełniej podobny do reszty naszych ludzi i różniący się od nich jedynie długą laską, którą się podpiera idąc i którą w przejściu przez rzeki próbuje brodu.

Dnia tego wyruszyliśmy w podróż dopiero o 1-ej po południu, i tuż przed zachodem słońca, dobrze wyciągając nogi w ostatniej pół godzinie dotarliśmy do jeziora Hara Maja. Tam rozbiliśmy obóz. Noc przeszła spokojnie, a dziś rano, słońce wypłynęło na niebo jak zwykle w dwanaście godzin po zachodzie, to jest o 6-ej.

Po śniadaniu, w czasie gdy zwijano namioty i juczono wielbłądy, poszedłem ku pobliskiemu jezioru. Ptactwo krążyło nad wodą wyglądając zdala jak roje olbrzymich komarów i porywało mi się z pod nóg za każdym niemal krokiem. Miałem wrażenie, że jestem w ogromnej klatce jakiegoś fantastycznego zwierzyńca. Bez trudu, a więc i bez wielkiego zadowolenia upolowałem cztery gęsi i dwie ogromne kaczki nieznanego mi bliżej gatunku, czyli zdobyłem zapas mięsa na cały dzień.

Droga nasza wiodła narazie wprost na Harrar, i dopiero pod samem niemal miastem skręciliśmy na południe, a o 11-ej, gdy upał zbytnio dokuczył, stanęliśmy na wypoczynek w głębokim i cienistym wąwozie. Dnem jego płynął strumyk zasilany widać szeregiem źródeł, bo wodę pomimo gorąca miał niemal zimną.

W dalszą podróż ruszyliśmy o godzinie trzeciej; droga była niezmiernie uciążliwa. Błędny szlak, w którym jednak przewodnik znakomicie się orjentował, wiódł po przez doliny i wzgórza, piął się w górę niemal koźlą ścieżką, spadał na łeb na szyję w dół, przesadzał wąwozy i strumienie, kluczył wśród ogromnych głazów, i parł po przez kolczaste zarośla, gdzie ziemię zaściełały miljony uschłych cierni tak ostrych, że wpijały się nawet w nogi wielbłądów. Czarni, choć mający podeszwy nóg wyjątkowo twarde, klęli często, i spluwali z obrzydzeniem. Nieraz też któryś przysiadał na skraju drogi, i paznogciami, lub nawet zębami, wyrywał tkwiący w skórze kolec.

Wreszcie, pod wieczór już, krajobraz się zmienił. Ziemia, dość żyzna, przygarnęła tu greckich kolonistów, którzy pobudowali domy i pozakładali plantacje kawy. Pośród tych plantacji wędrowaliśmy czas jakiś wypatrując ich końca, bo wieczór się zbliżał, a oczywiście trudno było rozbijać obóz śród uprawnych pól. Gdy się skończyły, dochodziła szósta, i zaraz uśmiechnął się ku nam z głębi płytkiego wąwozu wesoły strumyk. Zdawał się zapraszać do siebie znużonych wędrowców, bo sze-

leścił dziwnie słodko. Skwapliwie skorzystaliśmy z tej okazji, i w krótkim czasie płonęły już ogniska, na zaimprowizowanych rożnach piekło się ptactwo, a my, leżąc w cieniu drzew na miękkiej murawie, gawędziliśmy o wielkich łowach i grubej zwierzynie, która wciąż jeszcze pozostawała w krainie marzeń.

30.I. Wczoraj była niedziela, która zeszła nam zresztą tak samo jak dzień powszedni. Od siódmej do dwunastej, i od trzeciej do szóstej, wędrowaliśmy pod jaskrawem słońcem, po trawie zżółkłej od spiekoty, to znów lśniącej zielenią w zagłębieniach wąwozów.

Pod wieczór już, gdy kołysany monotonnym krokiem muła zdrzemnąłem się nieco, zbudziło mnie dziwne i niedające się bliżej określić uczucie. Jakgdyby zbrakło raptem czegoś, co stanowiło dotąd nieodłączną część dnia. Spojrzałem wkoło. Barwy traw, kamieni, krzewów, nawet barwy ludzi zszarzały i zgasły. Niby ciemna gaza osnuła wszystko. Podniosłem głowę. Ach, to chmury, dawno niewidziane chmury, zakryły słońce!

Przewalały się po niebie olbrzymie i wydęte, jak żagle rybackich łodzi nabrzmiałe wiatrem. Od głównego cielska szły odnogi jaśniejsze i mniej zwarte, niby macki polipa. Błękit wydzierał tu i owdzie w mniejszych i większych skrawkach.

Deszcz jednak spadł dopiero dziś rano w dwie godziny po wyruszeniu w drogę. Złapał nas w górzystej okolicy pełnej jarów i wyrw, które zamieniły się wnet w potoki i jeziora, a zlał tak dokumentnie całą karawanę, że wyglądaliśmy jak po gremjalnej kąpieli. Narazie, instynktownie oczywiście, każdy starał się znaleźć pewną osłonę przed tą ulewą, co było tem trudniejsze, że nie mieliśmy wcale zamiaru stawać. Potem jednak, w miarę jak ubrania i nieosłonięte brezentem pakunki nasiąkały wodą niby gąbki, z wesołą niefrasobliwością nastawialiśmy twarze i piersi strugom wody, co niby tysiączne drobne stalaktyty łączyły niebo z ziemią.

Deszcz ustał tak nagle, jakgdyby rozciągnięto raptem ponad nami olbrzymią szklaną taftę. Wnet potem chmury rozwiały się i znikły wsiąkłszy w radosny błękit. Słońce jęło chciwie czerpać wilgoć i w pół godziny wyschliśmy zupełnie.

Droga zawiodła nas w dolinę o łagodnych zboczach, porosłych trawą i krzewami. Tu rozbiliśmy obóz, postanowiwszy zostać do jutra rana by nakarmić wielblądy i dać im odpowiedni wypoczynek. Zmęczyły się bowiem bardzo, nie tyle zapewne na skutek przebytej odległości, ile ze względu na nierówny teren, a garby ich, wypchane dobrze w pierwszym dniu podróży, jęły melancholijnie zwisać.

Po obiedzie wziąłem karabin, zawołałem Alego, i ruszyłem na polowanie. Dolina wywiodła mnie na sporą łąkę porosłą zrzadka kępami krzewów. Najpierw przez lunetę, później gołem okiem, zobaczyłem śród nich stworzonka wielkości zająca, o długich cienkich nóżkach, i z malutkiemi rogami wieńczącemi zgrabny łebek niby dwa czarne gwoździe. Futerko, ciemno brunatne, lśniło w słońcu niby mosiądz. Były to jednem słowem najmniejsze z afrykańskich antylop zwane z arabska dik — dik.

Kazałem Alemu, żeby je ku mnie napędził. Ruszył natychmiast i sprawnie, niby gończy pies zatoczywszy odpowiedni łuk, gnąc we czworo niemal swą wyniosłą postać,—w odpowiedniej chwili i w odpowiedniem miejscu wyprostował się, krzyknął i machnął zdjętą z bioder szmatą.

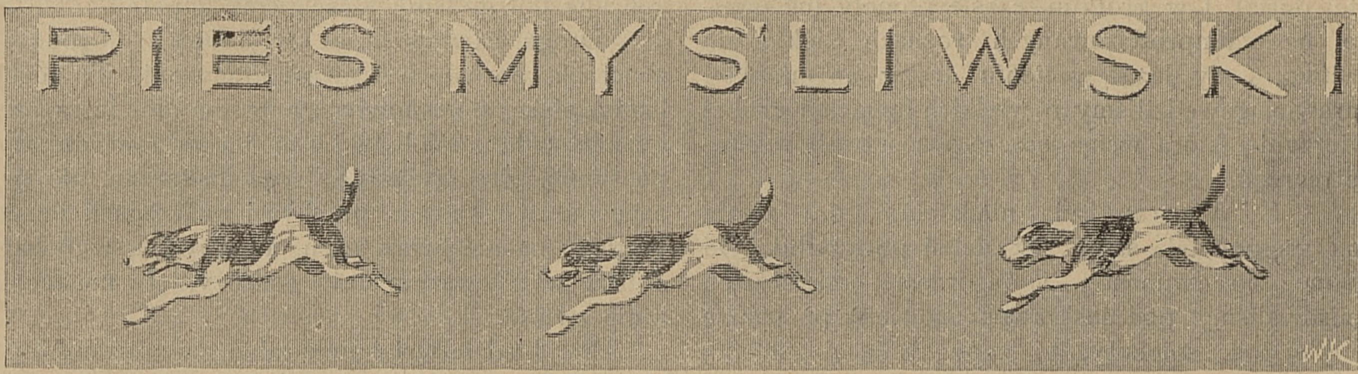
Dik—diki zakotłowały się i pierzchły w różne strony. Jeden gnał tuż na mnie; ale co to był za bieg! Leciał niemal w powietrzu, skacząc przez krzaki i kępy traw w bajecznych susach. Pęd jego był tak silny, że po strzale już, trafiony śmiertelnie, przekoziołkował jeszcze parę metrów.

Wracając do obozu, natknąłem się na szakala. Był widać najedzony i bardzo pewny siebie, bo spał w cieniu drzewa, jak suseł. Rzucił się do ucieczki dopiero wtedy, gdy zbliżyłem się doń o kilkanaście metrów. Padł trupem od pierwszego strzału. Był to bardzo ładny okaz, duży i o wyjątkowo puszystem futerku, to też kazałem zaraz zciągnąć z niego skórę.

Bronisław Gordziałkowski.

(d. c. n.)





Kilka słów o psie myśliwego.

1

Myśliwy bez psa dobrego może się uważać za podmyśliwego. Wie też każdy o tem, kto nie posiada, lub w sezonie polowań nagle stracił swego czworonożnego towarzysza. Jak trudno w takich razach znaleźć go, wie to wielu, co znaleźli się w tem trudnem położeniu. Więc też szczęśliwym nazwać się może ten, komu udało się nabyć od sąsiada, znanego mu z zalet i tresury pieska i nie powinien nigdy żałować wysokiej ceny. jaką za niego zapłacił, bo pies dobry z naddatkiem mu to nagrodzi. Inaczej ma się rzecz z kupnem wyżła nieznanego, nabytego przez ogłoszenie gazeciarskie. Do psów „brylantowych“ „idealnych“ „niezrównanych aporterów“ „bezkonkurencyjnych“ lub „z wiatrem nadzwyczajnym“, anonsowanych w pismach krajowych i zakordonowych, każdy nabywca winien odnosić się bardzo ostrożnie, by nie tylko nie narazić się na znaczne koszty. ale i na impertynenckie listy sprzedającego, zarzuty nieumiejętnego obchodzenia się i popsucie „idealnego“. Wymagania nabywcy są zazwyczaj dość wielkie, chciałby on mieć psa, jeżeli już nie idealnego. a takiego nie ma, jak nie ma na świecie doskonałości, to przynajmniej psa doskonałego, bez wad kardynalnych. Najprostsza więc droga—nabycie psa z anonsu. Nie mogę twierdzić, aby wyżeł tą drogą nabyty musiał być koniecznie zły, z wadami, znałem kolegów którzy byli zadowoleni z takiego kupna, lecz to są wypadki dość rzadkie i tranzakcja taka jest bardzo ryzykowną dla kupującego. Niefortunnego nabycia nie biorę jednak na karb chęci „wsypania“ nabywcy przez hodowcę wyżła, prędzej przypisać to można zarozumiałości jego o swej tresurze, lub fałszywemu mniemaniu o zaletach danego Kastora, Nerona, Tella, lub innego Rexa. Proszę powiedzieć takiemu panu, że pies jego, goniący spłoszoną zwierzynę, nie słuchający apelu, bałamucący swem niefortunnem zachowaniem się inne psy, nie wart funta kłaków, będziesz miał z niego, dośmiertnego wroga, nie przebaczy ci tego nigdy i gdzie będzie mógł, psuć będzie twą dobrą opinję. Jakąż więc możemy mieć gwarancję kupna psa z anonsów? W X gazecie czytamy o sprzedaży „ideała Karo“ z wiatrem nadzwyczajnym i apelem bezkonkurencyjnym“, posyłamy spiesznie żądaną kaucję i odbieramy pieska z najbliższej stacji: powracamy uszczęśliwieni z nowego nabytku do domu. Na próbę dziś zapóźno, więc spędzamy noc niespokojnie. co chwila budzimy się, zapalamy światło, by podelektować się widokiem pieska, a o świcie już jesteśmy w dalekiem polu. Obserwujemy zachowanie się naszego „Ideału“. Nie trzyma się nogi, odbiega od nas często, a na świst nie bardzo zważa, jest nieposłuszny, nie dotrzymuje stójki i spędzoną goni zwierzynę, a zabitą dusi i morduje, porzuca w drodze i wracać po nią nie chce. Jesteśmy więc wsypani należycie. Na nasze reklamacje albo nie odpisuje nam zupełnie ów pan, lub dostajemy list impertynencki, pełen zarzutów o nieumiejętnem obchodzeniu się z psem i popsuciu „ideała“. Sprawę rozstrzyga sąd, do poniesionych kosztów przybywają nam jeszcze znaczne koszty procesu, hodowca zostaje z pieniędzmi, my z gałganem psem, lecz z pewnem doświadczeniem na przyszłość, nie kupować w worku kota. Sprytny hodowca przy próbie swego wychowańca umie znów mistrzowsko ukryć jego wady i przedstawić tylko jego zalety i dobre strony, na czem doświadczony myśliwy znów łatwo się poznać może, przy pierwszem wyprowadzeniu w pole kupionego psa, praktyk-myśliwy pozna jego braki zaraz, zrozumie tresurę, czy ona jest miękką, lub nie i czy pies posiada dane zalety.

Wł. Czerniejewski.

(*D. n.*)

I-sza Wszechpolska wystawa psów rasowych.

Drugi to już raz w czasach powojennych byłem na wystawie psów w Warszawie i widzę, że wystawa przeszłoroczna to skromny początek, wystawa zaś roku bieżącego, ze względu na ilość i jakość eksponatów to duży krok naprzód: odniosłem też z niej wrażenie nader dodatnie, konstatując, że sprawę tę wzięto należycie do serca, z czego wróżę, iż hodowla w Polsce psów rasowych wogóle, a myśliwskich w szczególe, ma wszelkie szanse dalszego i należytego rozwoju.

Opisując wystawę psów rasowych roku bieżącego powiem; na wstępie słów parę o katologu wystawowym. Otóż katalog ten z przeznaczenia to szczegółowy informator każdego zwiedzającego wystawę amatora, winien więc jest zawierać w sobie wszystko co się tyczy danego eksponatu, a mianowicie: jego nazwę, płeć, maść, pochodzenie, nazwisko hodowcy, otrzymane uprzednio nagrody i t. d. taki bowiem tylko katalog osiąga w zupełności cel, dla którego jest wydany, i będąc cennym nabytkiem dla każdej bibljoteki myśliwskiej, jest chętnie nabywany przez zwiedzających wystawę amatorów, katalog zaś bez tych danych jest konieczny tylko dla Zarządu wystawy (by nie opuścić naprzykład przy ekspertyzie tego lub innego eksponatu) amatorowi zaś on nie daje nic. Prawda, że ułożenie i wydanie takiego katalogu, to praca nielada, na dawnych jednak wystawach dawali sobie z nią ludziska rady, a na zachodzie już w drugim dniu wystawy wydają drugi katalog z wyszczególnieniem otrzymanych przez eksponaty nagród z dnia poprzedniego. Nie weźmie mi chyba Szanowny Zarząd Wystawy za złe podanie tego dezyderatu, wiem aż nadto dobrze z doświadczenia, ile taki Zarząd łoży przy urządzeniu wystawy trudu, którego nikt nie widzi i często nie ceni; z obowiązku jednak sprawozdawcy muszę o tym braku nadmienić.

Przechodząc następnie do psów-eksponatów powiem, że ogólny ich poziom jest znacznie wyższy od przeszłorocznego, niektóre zaś egzemplarze mogłyby z powodzeniem figurować nawet na wielkich wystawach. W dziale pointerów suki są bezwzględnie lepsze od psów, wśród suk zaś najlepsza „Blackfield Fate Ganka“ p. Milewskiego, sądząc z nazwy hodowcą jej jest W. Marr, wobec czego „Fate“ to potomek moich czarnych pointerów, „Fate“; jest to bardzo ładna suka, błyszczy ona i świeci, że się tak wyrażę, rasowością, co jest tak ważne u reproduktorki, ma dobrą głowę, elegancką szyję, prawidłowo i należycie ściętą łopatkę, prawdziwy pointerowski ogonek i lekkie elastyczne ruchy, wszystko to wydziela sukę z pośród pozostałych i stawia ją na pierwszem miejscu: pożądanem jest chyba tylko u „Fate“ trochę więcej kości.



Premjowe konkursowe strzelanie myśliwskie Wielkopolskiego Związku Myśliwych.
W Kostro, sekretarz W. Z. M.; Fr. Unrug, wiceprezes W. Z. W.; Hr. Bielski, prezes C. Z. P. St. Ł.;
K. Chłapowski, prezes W. Z. M.; T. Jaruszewski, nadleśn. Suszczyński.

Następną po niej jest „Norma“ p. Antoszewskiego zupełnie jeszcze młoda i niesforna, dużo jednak obiecująca suka, z bardzo dobrą głową i ruchami. Dobra reproduktorka „Aza“ tego samego hodowcy jest już niestety ruiną, o której da się powiedzieć że „jest to była piękność“; pozostawiłem ją bez nagrody nie chcąc jej degradować; o „Azie„ należy powiedzieć, że na konkursie piękności miejsca dla niej już niema.

Psy gorsze były od suk, najlepszy z nich jednak młody czarnoraby „Ali“ p. Szeligowskiego: psy tego typu formują się późno, obecnie ma on jeszcze małe żebra; wadą u „Ali“, która nie wiadomo czy się wyrówna w przyszłości, to zanadto prosty spad tyłu i słabo rozwinięty staw skokowy.

Setterów angielskich było mało, z nich jednak dwa „Aetus“ p. Koźmiana i „Dżek“ p. Rajkowskiego są bardzo, a bardzo ładne. Pierwszy to elegancki o bardzo ładnej koszulce pies, nieco rozciągnięty, a drugi zaś gęsto nakrapiany, silny, mocno i prawidłowo najzupełniej zbudowany; różnica między tymi psami mała, ja jednak stawię wyżej „Dżeka“, ponieważ „Aetus“ sprawia wrażenie suki, co jest tak niepożądanem u reproduktora.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu dział setterów irlandzkich był znacznie pełniejszy od działu setterów angielskich i w dziale tym było kilka bardzo dobrych egzemplarzy. Zdziwiło mię to, jak powiedziałem, ponieważ hodowla irlandczyków jest trudniejsza, gra tu bowiem ogromną rolę maść, czego w stosunku do setterów angielskich niema. Ileż to Irlandczyków o doskonałym składzie pozostaje bez nagrody tylko dlatego, że mają maść wadliwą, taki egzemplarz był też i na wystawie, o której piszę: pies dobry, żółta maść dyskwalifikowała go jednak ostatecznie. Pozatem było kilka bardzo ładnych psów: „Neptun“ p. Tomaszewskiego i „Reks“ p. Czyża mogą się cieszyć powodzeniem wszędzie. Najgorzej i najskąpiej, jak zawsze, reprezentowany był dział gordonów. Zaledwie jeden tylko pies „Bis“ p. Fijałkowskiego, gordon tylko z maści, przyczem o podpałach zbyt mało wyraźnych. Niestety rasa gordonów jest na wymarciu, a jakie też były wśród nich doskonałe psy polowe! Dziwne to może, lecz prawdziwe, że rasę tę zgubiły wystawy i popisy polowe. Rzecz w tem, że protoplaści gordonów: czarne, czarne w podpałach i czarno-rabe w podpałach settery angielskie potężnego wzrostu, typu ciężkiego, produkowane były przez kilka pokoleń właścicieli zamku Gordona w Szkocji, a gordon-seterami zaczęto nazywać te psy dopiero później. Na początkowych wystawach w Anglji wystawione były i settery wspomnianych maści, wkrótce jednak został ustalony standart czarnego w podpałach settera i wszelkie białe odznaki, prócz odznak na piersiach, uważane były za wadę, na popisach zaś w polu setter gordon był zaciężki w porównaniu z innemi setterami, wobec czego powodzenia, na ogół biorąc, nie miał. Wówczas hodowcy w celu nadania tym psom lżejszego typu i lekkości ruchów, dodali im krwi irlandczyka w nadziei, iż w ten sposób poprawią podpały dla wystawy i ruchy dla popisów w polu. Mieszanina ta jednak dobrych rezultatów nie dała ze względu głównie na wielką różnicę w składzie gordonów i irlandczyków i w końcu rasa ta zaczęła się wyradzać. O domieszce krwi irlandczyka świadczy najlepiej ta okoliczność, iż w każdym miocie współczesnych gordonów bywa zwykle parę szczeniaków w koszulce irlandczyka.

Ja pamiętam jeszcze dawne gordony i uważam, że dla polowania w Polsce byłyby psy najodpowiedniejsze i najdogodniejsze ze wszystkich wyżłów angielskich, gordon bowiem nie jest gorący, jak inne settery angielskie, łatwo się tresuje, posiada wielkie zdolności do aportu i ma węch nie gorszy od innych setterów angielskich.

W końcu słów kilka o hodowli psów na przyszłość, szczególnie zaś o hodowli wyżłów angielskich. Wystawy świadczą, że w Polsce mamy już jaki taki materjał hodowlany, lecz jest on, niestety, w ten czy inny sposób sobie pokrewny i dla utrzymania rasy konieczną jest domieszka krwi świeżej. Trzeba nabyć reproduktora dla suk krajowych lub też wysłać tę lub inną z nich dla odchowania zagranicę: taki to sposób praktykowany był w swoim czasie przez hodowców moskiewskich; suki w klatkach odbywały podróż tam i z powrotem same bez specjalnych opiekunów. Lecz dokąd się teraz udać dla zdobycia reproduktora? Zdawałoby się, że przedewszystkiem należałoby się zwrócić do pierwotnego źródła t. j. do Anglji, w rzeczywistości zaś rzecz się ma inaczej. W Anglji polowanie z psem obecnie wymiera i ustępuje miejsca polowaniu z naganką. Amatorowie wyżłów podzielili się na dwa obozy i jedni z nich chowają li tylko psy wystawowe, które nigdy nie widzą pola i zwierzyny i nie słyszą strzałów, drudzy zaś z zapamiętaniem uprawiają sport fieldtrialsowy i psy ich co do rasy często mają rasową tylko koszulkę.

We Francji i w Belgji przed wojną były hodowle psów bardzo rasowych i dobrych, co się zaś tam dzieje obecnie nie wiem. Szwecja zachowała u siebie polowanie z wyżłem i posiada psy, które by mogły przynieść znaczne korzyści dla utrzymania rasy u nas, szwedzi bowiem są bardzo wymagający co do eksterjeru, należycie rozumieją znaczenie wystaw i nie widzą w nich alfy i omegi

hodowli, zdaniem więc mojem w celu nabycia reproduktora należy nam zwrócić się do Szwedów.

Na wystawie z ogromnem zadowoleniem dowiedziałem się, że Warszawa zamierza w jesieni urządzić popisy polowe wyżłów. Szczęść Boże! serdecznie życzę powodzenia tej tak ważnej dla nas myśliwych i hodowców sprawie.

Stolarow.

Referat o IV Konkursie wyżłów dowodnych.

1

Koło kinologiczne w Strzelnie po porozumieniu się z Centralą w Poznaniu rozpisało konkurs wyżłów dowodnych, który się odbył w dniu 7 i 8 września na terenach nadleśnictwa państwowego Miradza, w szczególności leśnictwa Kurzebieli, oraz na polach majętności Zbytowa w powiecie strzelińskim.

Przed rozpoczęciem popisów odbył się pokaz wyżłów trzech sąsiednich hodowli, mianowicie hodowli „z wielkopolskiej kniei" p. Przybyły, prezesa Koła Kinologicznego w Strzelnie, hodowli „z bukowego wzgórza" p. Bron. Gramowskiego, z Wymysłowa i hodowli „z nad Gopła" p. Ign. Jasińskiego ze Strzelna.

Około 30 wyżłów każdego wieku, począwszy od szczeniaków, a skończywszy na gotowych do konkursu kandydatach przedstawiało miły dla oka myśliwskiego widok, namacalnie przekonując widzów, że właściciele tych hodowli nie żałują czasu ni kosztów, aby naprzód posunąć ważną dla każdego prawidłowego myśliwego sprawę wszechstronnych pomocników w praktyce łowieckiej.

Wszyscy zgłoszeni do konkursu kandydaci stawili się do popisów. Los ustalił następujący porządek egzaminów:

1) „Ingo z nad Gopła", ur. 25.3.1924, z ojca „Hejko" (księga rodowodowa polskich wyżłów dowodnych n. 4) i matki „Kora z Wyrzyska", właściciel, treser i mener p. Br. Gramowski.

2) „Raudi-Posnania", ur. 15.3.1923, z ojca „Tell v. d. Wiese" i matki „Mira-Woltershof", właściciel, treser i mener p. Jasiński.

3) „Wisła z nad Gopła", ur. 25.12.1923 z ojca „Hejko" (ks. rod. p. w. d. n. 4) i matki „Blanka-Kulz", właściciel i treser p. Przybyła, mener p. Haziak Jan.

4) „Diana z Poznańskiego", ur. 30.3.1923 z ojca „Limp-Wartethal" i matki „Bessy z Poznańskiego" (ks. rod. p. w. d. n. 6), właściciel i mener p. Kramarczyk ze Strzelna, treser p. Przybyła.

5) „Rex z nad Gopła", ur. 25.7.1924 z ojca „Hejko" (ks. rod. p. w. d. n. 4) i matki „Blanka-Kulz", właściciel, treser i mener p. Przybyła.

6) „Ira z nad Gopła", ur. 25.3.1924 z ojca „Hejko" (ks. rod. p. w. d. n. 4) i matki „Kora z Wyrzyska", właściciel i treser p. Przybyła, mener p. Haziak.

7) „Wera z Poznańskiego", ur. 30.3.1923 z ojca „Lump-Wartethal" i matki „Bessy z Poznańskiego" (ks. rod. polsk. wyżł. dow. n. 6), właściciel i mener p. Kramarczyk, treser p. Br. Gramowski.

8) „Mars", ur. 10.4.1923, właściciel i treser p. Przybyła, mener p. Haziak.

9) „Diana z nad Gopła", ur. 25.3.1924 z ojca „Hejko" (ks. rod. p. w. d. n. 4) i matki „Kora z Wyrzyska", właściciel, treser i mener p. Jasiński.

10) „Bessy z Poznańskiego" (ks. rod. polsk. wyżł. dow. n. 6), ur. 5.3.1919 z ojca „Hejko II — Arnheim" i matki „Bella-Szczecin", właściciel i mener p. Jasiński, treser p. Bronmitz ze Starego Tomyśla.

W pierwszym dniu popisów uporano się z pracą leśną i z egzaminem w ciętości.

W czasie więc przygotowania przez 2 sędziów konkursu sztucznego tropu sfarbowanego dla 10 kandydatów popisu, trzeci sędzia, p. gen. Unrug, krótko po ósmej godzinie rozpoczął egzamin w warowaniu na strzał, w zachowaniu się na otoku i w buszówce.

Od godziny 9½—1½ załatwiono się z egzaminem ze sprawności na sfarbowanym tropie sztucznym. Po ukończeniu popisów w ważnym tym dziale odbyło się śniadanie w lesie, o którem wspominając nie mogę przemilczeć, że ci, którzy w niem uczestniczyli, sędziowie, menerzy i goście, zdobyli dla zdumiewającej swej sprawności we wszelakich jego działach same wyśmienite cenzury, i niezaprzeczone prawo zapisu w księgę rodowodową żarłocz... żarliwych chciałem powiedzieć propagatorów idei wyżłów wszechstronnych, gdyby się kiedykolwiek księgę taką założyć miało.

Resztę dnia poświęcono na egzamin w ciętości, w zachowaniu się na stanowisku i w aportowaniu lisów, kotów i królików na szlaku sztucznym. Przez niedopatrzenie ominięto w notesie dla sędziów przygotowanym wyparowanie, co znów pociągnęło za sobą opuszczenie popisów w ważnym tym, chociaż nie decydującym dziale pracy leśnej.

Po 1½ godzinnej konferencji sędziów w przytulnym pokoju sympatycznej leśniczówki w Kurzebieli i jeszcze sympatyczniejszych jej mieszkań-

ców, podczas której ujednolicono cenzury z wszystkich działów dotąd załatwionych, skończyła się praca w pierwszym dniu popisów.

W dniu następnym pola Zbytowskie były terenem, gdzie kandydaci mieli wykazać swoją umiejętność w pracy polnej. Silny wiatr i fale deszczowe w wysokim stopniu utrudniały spotkanie dostatecznej ilości stadek; szukano długo po pagórkach i dolinach, w łanach kartofli, seradeli i koniczyny, na ścierniskach i na gołej roli, zanim nareszcie natrafiono na sześć stad, nie ostrzeliwanych prawie. Mozolna to była praca, zanim w takich warunkach zdołano od biedy przeprowadzić egzamin wszystkich kandydatów.

Po południu rozpadało się na dobre, tak że ostatni dział popisów, praca wodna, o stałej dokonywał się niepogodzie, która jednak nie przeszkodziła bezpośrednio nawet nieinteresowanym widzom i gościom w wytrwaniu do końca konkursu.

O szóstej nad wieczorem sędziowie po godzinnej konferencji ustalili wynik konkursu, który brzmi:

I nagrodę	otrzymuje	„Ingo"	p. Gramowskiego;
II	„	„Rex"	„ Przybyły;
III	„	„Wera"	„ Kramarczyka;
III	„	„Ira"	„ Przybyły;
III	„	„Wisła"	„ Przybyły;
III	„	„Bessy"	„ Jasińskiego.

Podczas wspólnego obiadu ogłoszono wynik ten i wręczono menerom oprócz dyplomów piękne upominki, oddane do dyspozycji sędziów przez członków Koła Kinologicznego w Strzelnie.

P. Gramowski otrzymał ładownicę skórzaną, dar p. Pętkowskiego z Kuśnierza, i budzik, p. Przybyła za „Rexa" serwis do mleka, za „Wisłę" zegar biurowy, za „Irę" pół tuzina metalowych łyżeczek do kawy, p. Kramarczyk za „Werę" serwis do mleka oraz dzieła myśliwskie „Z łowisk wielkopolskich" i „Wacho"; p. Jasiński za „Bessy" metalową tacę i dzieło „Władcy Kniei".

Pozatem wręczono p. Haziakowi w uznaniu za dobrą pracę wodną „Marsa" dzieło „Na tropie przyrody" i p. Jasińskiemu w uznaniu za pracę wodną „Diany" dzieło „Ku indyjskim rubieżom".

Przechodzę do szczegółowego omówienia egzaminowanych wyżłów.

1) „Ingo" mimo młodego wieku jest kapitalnym wyżłem pod względem sprawności, jako też pod względem budowy. Jego praca na sztucznym tropie sfarbowanym była bez zarzutu; dobre również aportowanie drapieżnika i królika po sztucznym szlaku, oraz sposób buszowania, bardzo dobre jego zachowanie się na stanowisku, warowanie na strzał i zachowanie się na otoku.

Mocnego kota dławi w mig, odbierając w bardzo ważnym tym dziale cenzurę: dobrze. Wogóle mogę z wielkiem zadowoleniem stwierdzić, że w ciętości okazał się na ostatnim konkursie ogromny postęp. Jeśli bowiem na 9 kandydatów czterech dławi samodzielnie, bez pomocniczych manipulacji menera, a jeden po dość długiem osadzaniu również decyduje się, choć późno, na skuteczny atak, to wynik taki w wysokim stopniu zadowolić musi, zostawiając daleko za sobą rezultaty dawniejszych popisów w tym dziale.

Praca wodna „Inga" była dobra, bobruje on z pasją i dobrze aportuje z głębokiej wody. U młodych a ciętych wyżłów często zauważyć można zbytnie miętoszenie aportowanego ptaka, „Ingo" nie jest zupełnie wolny od tej wody — spostrzegłem, że tak ostro brał kaczkę w trzcinie przyłapaną, że kości jej trzeszczały; należy go stanowczo oduczyć tego; stwierdzam jednak, że gdy aportował później w polu przepiórkę, wady tej skonstatować nie mogłem.

Praca jego polna zrobiła wogóle doskonałe wrażenie. Szybkim, wytrwałym sposobem szukania, wystawianiem, dobrym apelem, ciągłą bacznością na skinienie menera zaskarbił sobie zupełne uznanie sędziów; lepiej co prawda mogło było wypaść jego aportowanie kuropatwy na sztucznym szlaku.

Jeśli się okaże, że „Ingo" potrafi zalety swe zewnętrzne i wewnętrzne przekazać potomstwu, że będzie takim reproduktorem, jakim jest przeciwnikiem, natenczas wyżeł ten wysoką posiada wartość, i nie będę się dziwił, że go właściciel jego zachowa dla siebie jako gwiazdę hodowli „z bukowego wzgórza". Powinszować należy p. Gramowskiemu, że jego „Ingo" jest pierwszym wyżłem, który na konkursach dotychczas odbytych otrzymać mógł pierwszą nagrodę.

„Raudi" wcale dobrze prowadzi za farbą do kozła, lecz zachowuje się w bardzo podejrzany sposób, szarpiąc z rosnącą namiętnością sarnika za udo. Gdy robiono próbę mającą wykazać, czy pies nie narzyna, p. Jasiński sam z oburzeniem stwierdził to zachowanie się psa dotąd niebywałe, i obiecał gruntowne podjąć środki, aby tego rodzaju wykolejenia nie powtórzyły się więcej. Doskonale sprawuje się „Raudi" w aportowaniu drapieżnika i królika na sztucznym szlaku i zdobywa też w wszelkich innych działach pracy leśnej dobre noty.

Meles Taxus.

(D. c. n.).

MYŚLIWY W ZAKRYSTJI.

(Wspomnienie z młodocianych lat Ciechanowiaka).

W każdą niedzielę i święto na sumie w kościele Lekowskim zbierało się towarzystwo z całej okolicy.

Od podnóża wzgórka, na którym stał kościół aż ku plebanji, obszerny plac zajmowały wehikuły i konie. W pobliżu zakrystji stały lekkie modne bryczki zaprzężone w cuganty, obok nich czterokonne powozy, a między niemi nawet błyszcząca kareta z Unikowa. Dalej zaś całe wzgórze obiepiała zbita masa bryk i wasągów drobnej szlachty, owych nieprzeliczonych Pniewskich z Pniewa i Krośnickich, z Krośnic, oraz szeregi chłopskich półdrabków z Lekówca, Pawłowa, Mościc, Bolewa i innych wsi rozległej Lekowskiej parafji.

Nawę kościelną wypełniało chłopstwo i zagonowa brać szlachecka, „państwo" zaś, które dziś zowie się nienawistnem mianem „obszarników" dążyło do presbiterjum.

Bocznemi drzwiami wchodziły wytwornie ubrane panie i oddając lekkie ukłony zgromadzonym w zakrystji tym, którzy przybyli wcześniej dążyły wraz z dziećmi przed wielki ołtarz, gdzie zajmowały miejsca w ławkach i przygotowanych dla nich krzesłach. Za to panowie przybyli w towarzystwie pań lub bez pań woleli pozostawać w zakrystji. Wszak tu przysiąść nieco można na wysuniętych szufladach komody z ornatami, fotelach, klęcznikach, lub wreszcie oprzeć się o coś wygodnie. Drzwi zakrystji do presbiterjum szeroko otwarte, ołtarz wielki i ambona w pobliżu — słyszeć tu można doskonale każde słowo księdza, a jednocześnie, nie zaniedbując modlitwy, można choć pocichu pogawędzić z sąsiadem.

Tylu tu miłych starych znajomych: jest zacny pan Józef Włodek z rodziną (której przedstawiciele później do literatury polskiej weszli), jest działacz społeczny pan Bojanowski z Klic, jest sędzia Milewski z Kotermania, jest stary pan Gutkowski z Włost z trzema dzielnymi synami, ogromnej tuszy Boleś Karniewski z Karniewa, Łebkowscy z Pawłowa, Budni z Kątek, Cyprysińscy, Jakaccy, Wodzyński, Stryjewski, Woźnicki i wielu innych.

Każdy z nich rad był podzielić się z sąsiadem jakąś nowiną gospodarczą, pochwalić sukcesem, a czasem dokonać małej wymiany ku pożytkowi swego gospodarstwa, więc jeden z sąsiadów poinformował innych, że wytłoki w cukrowni staniały, drugi szepnął, że żydki z Mławy lepiej za pszenicę płacą, niż żydki z Ciechanowa, któryś martwił się, że mu ozimina na dołkach wymiękła, inny chciał kilkanaście korcy „Imperatorów" zamienić na „Amerykany", wreszcie każdy z nich chwalił się z dokonanych robót w polu lub świetnych omłotów.

Jak rok okrągły, zależnie od jego pory, w zacisznej zakrystji robiono podorywki, wożono nawóz, obsiewano pola, brano bandosów do pielenia i żniw, młócono rzepak i koniczynę, a dobry Bóg w świątyni swej błogosławił tym wszystkim w cichych słowach wyrażonym pracom i lata całe upływały w najlepszej harmonji między zakrystją, a pobożnemi z nawy kościelnej.

Pracowitym rolnikom nie przeszkadzały ani kazania, ani śpiew, ani nawet organista, gdy otwierał na pełen organ wszystkie rejestry aż kościół drżał do fundamentów. I nawzajem: oni również nie przeszkadzali ani księdzu, ani pobożnym w modlitewnym nastroju — przeciwnie z nastrojem i nabożeństwem łączyli się zawsze, niejeden i litanję zdążył przeczytać i pacierz zmówił. W czasie podniesienia cisza panowała w zakrystji taka, że słychać było tylko szum przykościelnych topoli i westchnienia bab klęczących w kruchcie, a na „Agnus Dei" każdy pobożnie bił się w piersi...

Lecz, niestety, stał się fakt niespodziewany, który zburzył na pewien czas błogą harmonję zakrystji z kościołem.

Nieszczęście wywołał tyleż głośny co i niefortunny, a jednocześnie zapalony myśliwy, który potrafił poruszyć ukrytą żyłkę myśliwską cichych rolników.

Było to jakoś podczas ferji Bożego Narodzenia. My „smarkacze" przyodziani niedawno w jasno popielate gimnazjalne „szynele" ze srebrnemi guzami, uważaliśmy za właściwe wycofać się z grona pań i dzieci przy ołtarzu, a zbliżyć nieco ku drzwiom zakrystji niby ku strefie symbolizującej męskość. Słysząc pogwary zakrystji jednocześnie widzieliśmy, co się na kościele dzieje.

Ksiądz kanonik Waśniewski celebrował sumę i po „Credo" zszedł ze stopni ołtarza, siadł na wielkim fotelu, przez oparcie którego przewieszono jego ornat. Organista grał jeszcze jakieś trele, gdy na ambonie ukazał się wikary, jako kaznodzieja. Wikary był to ksiądz młody, obdarzony silnym głosem, którym umiał poruszyć serca: baby nieraz zanosiły się od płaczu, mężczyźni łzę ocierali, a niekiedy znów zamiast lamentu cisza modlitewna

wstępowała na wiernych taka, iż słyszałeś lekki szmer wosku w płonących na ołtarzu świecach.

Cisza taka nie była dla zakrystji wygodną. Tym razem w gronie rolników znalazł się jakiś młody myśliwy i począł sąsiadom opowiadać o swych przygodach na odbytem przed paru dniami polowaniu z naganką.

Opowiadanie musiało być ciekawe, bo sławni gospodarze przestali młócić rzepak i pszenicę i zasłuchali się w opowiadaniu myśliwego, co mówcę tak nastroiło, iż utracił świadomość gdzie jest i co się dokoła dzieje. Był wtedy zapewne na stanowisku wśród śniegiem pokrytego pola...

Przysunąłem się bliżej ku drzwiom zakrystji i nadstawiłem uszy, Niestety! ksiądz wikary mówił na ambonie tak głośno, że z tego, co opowiadał myśliwy w zakrystji ledwie oderwane wyrazy wyłowić mogłem.

Myśliwy się zapalał — kaznodzieja również głosu nie żałował, a kiedy doprowadził całą nawę kościelną do podniosłego nastroju, kazał się wszystkim skupić duchowo w rozpamiętywaniu grzechu i naraz urwał.

W nagłą tę ciszę kościelną padły jak grom i przeleciały aż pod organ niespodziane słowa:

— ja tedy **bęc!** do niego z jednej lufy...

Kanonik wyprostował się w fotelu, panie z przerażeniem zwróciły głowy w stronę zakrystji, pobożni w nawie spojrzeli zdziwieni na ambonę...

— a kot idzie... wtedy ja **bęc!** do niego z drugiej lufy...

Krew nabiegła do twarzy kanonika. Nastrój w kościele zmienił się krańcowo.

— A mój kot idzie — więc łamię flintę i zakładam naboje...

Kanonik ujął za ramię klęczącego obok zakrystjana.

— Poproś wszystkich panów przed ołtarz i zamknij drzwi do zakrystji. Prędzej, bo ten znów strzelać będzie...

Lecz nim myśliwy zużytkował nowo nałożone naboje — ksiądz wikary począł mówić dalej kazanie.

Niestety, niegodziwy zakrystjan był służbistą, rozkaz kanonika został spełniony. W zakrystji wynikła konsternacja. Część słuchaczy wyszła do presbiterjum, część pozostała. Drzwi od niepamiętnych czasów zawsze otwarte — zamknięto.

Oczywiście wynikło z tego duże niezadowolenie wśród bywalców zakrystji. Kanonik również się zawziął i przez kilka dni świątecznych kazał drzwi zamykać — potem jakoś się udobruchał, zakrystja została znów na lata całe otwartą, a spokojni ziemianie z myśliwskiemi sercami polecając się w cichości ducha Ś-mu Hubertowi, unikali tematów myśliwskich połączonych z wystrzałami, natomiast w dalszym ciągu, półgłosem tylko, orali, siali i młócili...

J. S,

„Żeby zwierzostan u nas nie upadał“.

(*Dokończenie*).

Nie obrzydzajmy sobie i innym niepotrzebnie życia przez wymyślania coraz to nowych ograniczeń; musimy bowiem pamiętać o tem, że racjonalne łowiectwo może i powinno poza licznymi obowiązkami dać też pewną dozę przyjemności i korzyści. Jeżeli więc ktoś np. nie lubi polowania w kotłach, niechże nie bierze w niem udziału — ale niech nie wymyśla zaraz wszystkim, którzy są innego zdania, od rzeźników!

Robi to bowiem niepotrzebnie złą krew i wywołuje znowu sztuczne antagonizmy i dyskusje, odwracając uwagę ogółu od spraw ważniejszych i aktualniejszych! Jeżeli zaś tego rodzaju powagi na polu łowiectwa jak Korsak, Krawczyński. Ostrowski i inni nie mają nic przeciw temu rodzajowi polowania na zające — to możeby lepiej było pozostawić tę kwestję swobodnej ocenie zainteresowanych myśliwych — tembardziej, że wiemy dobrze, że każdym innym sposobem polowania możemy zwierzynę wyniszczyć, jeżeli będziemy go nieracjonalnie stosować; a natomiast przy polowaniu w kotłach możemy zastosować takie ograniczenia (np. opolowanie każdorazowe tylko $1/3$ terenu przy cyfrowem ograniczeniu odstrzału i zakazie strzelania do zajęcy dosiadujących do samego końca kotła lub tem podobne), że nie zajdzie z pewnością obawa wyniszczenia zwierzostanu.

Następną kwestją o decydującem znaczeniu i wymagającą jaknajżywszego zajęcia się nią jest sprawa postępowania władz administracyjnych przy udzielaniu zezwoleń na broń i kart myśliwskich, oraz wydawania wszelkich nakazów i zakazów w sprawach łowieckich. Jasnem jest, że odnośne decyzje mogą być powzięte z korzyścią dla sprawy tylko po wysłuchaniu opinji fachowych i ściśle bezstronnych czynników — gwarancję zaś pod tymi obydwoma względami dać mogą tylko wydziały

miejscowych stowarzyszeń łowieckich, względnie wyznaczani i kontrolowani przez „Centr. Związek Stow. Łow. w Warszawie“ delegaci. Opinje odnośne musiałyby jednak opierać się tylko na stwierdzonych konkretnych faktach, popartych zeznaniami świadków, a nię na pogłoskach lub gołosłownych zarzutach; w skutku tego każdy delegat, któremuby udowodniono wydanie opinji niezgodnej z rzeczywistością, powinien być bezwarunkowo usuwanym, niezależnie od ewentualnej odpowiedzialności karnej za nadużycie swej funkcji urzędowej. Działalność obu tych organów lokalnych, to znaczy starostwa i delegata C. Z. S. Ł. musiałaby być stale i nieprzerwanie kontrolowaną i to nietylko drogą korespondencyjną jak np. przez akta, wykazy statystyczne i raporty perjodyczne o stanie łowiectwa i ważniejszych faktach z tej dziedziny zaszłych w powiecie, lecz także na miejscu przez objazdy wizytacyjne referentów odnośnych, przy Województwach i Min. rolnictwa oraz fachowych wizytatorów utrzymywanych przez Cent. Związek w Warszawie. Konieczność takiej kontroli uzasadniają po pierwsze łatwo zrozumiałe względy zasadnicze, a po drugie, fakty z urzędowania tak poszczególnych starostw jak i delegatów. Odnośnie do starostw jest znanem notorycznie, że sprawy łowieckie traktowane są mniej więcej poważnie tylko tam gdzie odnośny referent lub starosta osobiście się, niemi interesuje — gdzieindziej muszą one wobec nawału spraw innych, pozornie ważniejszych, ustąpić na drugi lub trzeci plan i zdane są przeważnie na opatrzność Boską lub instynkt samozachowawczy nieszczęsnej zwierzyny — jak naprzykład w małopolskim powiecie K..., gdzie podczas zamknięcia polowania na zające przez Województwo dostawał każdy dzierżawca polowania bez względu na swą opinję zezwolenie na odstrzał żądanej ilości zajęcy bez ograniczenia terminu i ilości polowań, jakoteż bez poprzedniego zbadania motywów odnośnego wniosku; efekt praktyczny był taki, że np. pan X. Y. Z. znany zaszczytnie z wynajmywania „na godziny“ albo z zapłatą „od sztuki“ swego rewiru każdemu przybywającemu z miasta amatorowi polowania, otrzymawszy zezwolenie na odstrzał np. 15 zajęcy, strzelał ich wraz ze swymi klijentami 50 — i to tylko dlatego, że pięćdziesiąty pierwszy i zarazem ostatni szarak zdołał przed śmiercią (choć poprzednio rzekomo 3 razy postrzelony i 2 razy wyrwawszy się z wnyka!), salwować się na teren sąsiedniego powiatu, gdzie na szczęście sprawy łowieckie były należycie prowadzone!

Z powyższego przykładu widzimy, że najlepsze ustawy i najbardziej celowe zarządzenia nie odniosą pożądanego skutku i po prostu trafią w próżnię, jeżeli nie potrafimy zapewnić im należytej i działającej sprężyście i szybko egzekutywy i nie poradzimy sobie z objawami złej woli czy niedołęstwa. Podobna jak wyżej opisana historja rozgrywała się w zeszłym roku w wielu powiatach z zamknięciem polowań; mianowicie dotknięci tem zarządzeniem właściciele, czy też dzierżawcy wnosili odwołanie do wyższej instancji i polowali najspokojniej dalej (gdyż odwołanie administracyjne ma moc wstrzymującą!) — po kilka lub więcej miesiącach wydawała władza przełożona orzeczenie zatwierdzające zakaz i teraz usiłowano interesowanemu to orzeczanie doręczyć; zależnie od czasu trwania korespondencji oraz od tego, czy usiłowania te zostały prędzej, czy później uwieńczone pomyślnym wynikiem, termin zamknięcia polowania wynoszący początkowo 2 lata kurczył się automatycynie do $1^1/_2$ — 1 — lub nawet $^1/_2$ roku.

Widzimy więc, że równie ważnym, jak tworzenie i projektowanie nowych przepisów—a może nawet ważniejszem — jak zapewnienie poszanowania i posłuchu (i utrudnienie obchodzenia) prawideł już obowiązujących! Do osiągnięcia tego celu koniecznem jest, jak wyżej wspomniałem, ciągłe informowanie odnośnych władz o wszystkich wymagających interwencji wypadkach — tembardziej że wiele z nich przypadkiem tylko dojść może do wiadomości organów kompetentnych; z drugiej zaś strony musi precyzyjnie funkcjonować kontrola ze strony władz wyższych za pośrednictwem odnośnych fachowych referentów i ze strony opinji publicznej zapomocą prasy!

Podobnie ma się sprawa ze zwalczaniem klusownictwa. Zgadzając się zasadniczo z powtarzaną ustawicznie opinją, że przewidziane w ustawach łowieckich kary za klusownictwo są zbyt niskie — twierdzę jednak stanowczo, że nawet w ramach tych ustaw możnaby zwalczać je o wiele energiczniej i skuteczniej, gdyby sprawę tę bardziej poważnie traktowały organy policyjne i władze administracyjne, a przedewszystkiem sądy! Oprócz bowiem ustaw łowieckich możnaby tu w przeważnej ilości wypadków stosować szeroko i dotkliwie przepisy ustaw karnych ogólnych!

Obudzenie u odpowiednich instancji zainteresowania głębszego dla tych kwestji jest znowu zadaniem Centr. Związku Stow. Łow. w Warszawie, który powinien działać w tym kierunku przez interwencje i rozsyłanie odezw propagandowych do władz, wyznaczanie pensji dla policjantów, żandarmów i straży łowieckiej za przyłapanie kłusowników, ustanawianie ubezpieczeń dla poszkodowanych w walce z kłusownictwem, rozwijanie propagandy w prasie, zapraszanie do współpracy stowarzyszeń i organizacji jak np. „Związek Har-

cerski“ — i wogóle staranie się, by sprawą tą zainteresował się życzliwie szerszy ogół!

Również na barki Centr. Związku Stow, Łow; w Warszawie jako najwyższej instytucji reprezentacyjnej łowiectwa polskiego spaść musi praca nad przeprowadzeniem postulatów jego de lege ferenda, obudzenie zainteresowania się tą sprawą u posłów i senatorów, współdziałanie przy zbieraniu potrzebnego materjału informacyjnego i statystycznego i wiele jeszcze innych zadań przypadnie temuż Związkowi w udziale. Ilość i różnorodność tych zadań dają nam wyobrażenie, jak silną i zdrową, oraz stojącą na solidnych i obejmujących całe państwo podstawach, instytucją musi stać się ten Związek! Obowiązkiem więc każdego myśliwego i każdego Towarzystwa łowieckiego jest dołożyć własną cegiełkę do wspólnej budowy; każdy z nas musi w imię wspólnego celu odłożyć na bok swe ewentualne uprzedzenia i zastrzeżenia dzielnicowe, zawodowe i t. p., i stanąć ochoczo do współpracy, pamiętając o tem, że jesteśmy dziś wszyscy szeregowcami armji, walczącej o byt polskiego łowiectwa i tylko pod wspólną komendą i pod wspólnym sztandarem św. Huberta odnieść możemy zwycięstwo!

Czesław Mańkowski.

JAK TĘPIĆ KŁUSOWNICTWO.

(odpowiedź na art. p. St. Nowakowskiego „Plaga kłusownictwa“).

W „Przeglądzie Myśliwskim“ z dnia 1 lipca 1925 r., ukazał się artykuł p. Stanisława Nowakowskiego „Plaga kłusownictwa“.

Według mniemania p. Nowakowskiego kres tej pladze mogą położyć jedynie pruskie przepisy myśliwskie z okresu cesarstwa, które domorosłych myśliwych do więzień pakowały. Z wielką przyjemnością wspomina on te surowe kary, które radby na gruncie polskim widzieć, zapominając o tem że, co dobre mogło być za cesarstwa, to już w dzisiejszych nawet Prusach przeżyć się mogło, a dalej, że nie wszystko, co dobre zagranicą, da się u nas z pomyślnym skutkiem zastosować, bo chłop pruski, a chłop polski, to duża różnica.

Dziękować Bogu, Polska jest dziś Rzeczpospolita, każdy obywatel ma w niej równe prawa, demokratyzacja społeczeństwa, dzięki przymusowemu powszechnemu nauczaniu, choć powoli, lecz z dniem każdym postępuje naprzód, myślistwo, monopolizowane dawniej w rękach arystokracji i wyższych urzędników, stało się dziś udziałem także wzgardzonego podówczas chłopa.

Jak więc zapobiec kłusownictwu, by podnieść zwierzostan?

— Trzeba przedewszystkiem uświadomić tego ciemnego, a rwącego sie do myślistwa chłopa, trzeba przemówić do niego po ludzku, a będzie on szanował przepisy myśliwskie i będąc dziś dobrym strzelcem, stanie się chłop w przyszłości wzorowym myśliwym i hodowcą, a zachwalane przez autora powyższego artykułu więzienia staną się wtedy prawie zbędne.

Widząc więc zastraszający zanik zwierzostanu, a mając na celu jego podniesienie przez wytępienie nie więzieniem, lecz uświadomianiem, miejscowego kłusownictwa, ja, miejscowy nauczyciel, w porozumieniu z tutejszym pisarzem gminnym postanowiliśmy założyć „Gminne kółko myśliwskie“ i jeszcze w marcu r. b., wysłaliśmy do starostwa potrzebne dokumenty, prosząc o jego zatwierdzenie, sprawa jednak oparła się o województwo i nie wiemy dotychczas, jak zostanie załatwiona.

Kółko więc myśliwskie w naszej gminie jeszcze nie istnieje, a już p. Nowakowski, nie znając przeszłości myśliwskiej ani samego kółka, ani jego projektodawców, którzy swemi wpływami nikomu do otrzymania pozwolenia na broń nie pomagali, wszystkich jego członków nazwał kłusownikami, choć do kółka weszli tylko ludzie o tyle pewni, że dotychczas za kłusownictwo karani nie byli.

Narzekając więc i łzy krokodyle lejąc na papierze nic nie wskóramy, bo słowo, choć nieraz cudzym kosztem mile ucho bawi, to marna połowa życia, szczególniej w naszych warunkach, gdyż długo jeszcze czekać będziemy, zanim „Przegląd Myśliwski“ pod strzechę zabłądzi, a przecież to, co o kimś się pisze, by rezultat należyty osiągnęło, powinno do niego właśnie w pierwszym rzędzie trafić. Tu trzeba umieć złemu pewnie zaradzić, lekarstwo na nie znaleźć, a będzie niem nie więzienie, lecz przedewszystkiem praca wytężona nad oświeceniem i uświadomieniem ciemnego, choć nie z własnej winy, chłopa, praca, która dziś jest obowiązkiem każdego inteligenta.

By naprawdę tamę tej pladze położyć, trzeba także fachowcowi wyzbyć się dumy i pychy arystokratycznej, tych przesądów wiekowych, które w czasach dzisiejszych tylko przedmiotem pośmiewiska i litości być mogą i z wysokich pańskich progów do chaty wieśniaczej wstąpić, chłopa pouczyć, a praca taka plon pewny i bogaty przyniesie.

St. Michalski,
nauczyciel szkoły powszechnej
w Żerocinie Okr. Radzyńskiego.

Józef Sidorowicz
pisarz gm., Żerocin.